

+Benedictus

Nr 17 (63)

Tyniec-Olsztyn

lutyl 2012

Powinien także budujący kłaść każdy kamień na zaprawę; bo jeśli będzie kładł kamień na kamieniu bez zaprawy, kamienie się rozpadną i dom się przewróci. Zaprawą jest pokora, bo się ją z ziemi robi i jest pod nogami wszystkich. Otóż żadna cnota bez pokory nie jest cnotą, jak powiedziano w *Naukach Starców*: „Jak niepodobna okręt zbudować bez grodzi, tak niemożliwe zbawić się bez pokory”. Trzeba więc, żeby człowiek czynił pokornie każde dobro, które czyni, aby pokora to dobro zachowała. Potrzeba też domowi tego, co nazywamy wiązaniem. Jest nim roztropność, która umacnia dom, jednoczy kamień z kamieniem i spaja budowlę, a także dodaje jej wielkiego piękna.

Dachem zaś jest miłość, która jest doskonałą pełnią cnót, jak dach jest ostatecznym wykończeniem domu. A po dachu pozostaje jeszcze ogrodzenie. Co jest tym ogrodzeniem? Napisano w Prawie: „Jeśli zbudujecie nowy dom, uczynicie na dachu ogrodzenie, aby nie spadły dzieci wasze z dachu”. Ogrodzeniem tym jest pokora. Ona to bowiem wieńczy wszystkie cnoty i ona ich strzeże. I tak jak każdą cnotę należy kłaść na zaprawę – tak i doskonała pełnia cnót wymaga pokory. Święci właśnie, dążąc do tej doskonałości, z natury rzeczy dochodzą do pokory. Zawsze wam to przecież mówię, że im bardziej człowiek zbliża się do Boga, tym lepiej widzi swoją grzeszność.

(*Doroteusz z Gazy*)



Duchu Święty Boże!
Jesteś nam potrzebny jak powietrze, którym oddychamy.

Jesteś przepaścią Bożą, nieskończoną dala,
w którą patrzymy z drżeniem.

Jesteś przyjaznym światłem, w którym ludzie
stają się sobie nawzajem drodzy, mili i bliscy.

Jesteś Palcem Boga, którym On,
jakby bawiąc się i bez wysiłku, uporządkował wszechświat
pod liczbą, wagą i miarą.

Jesteś najsubtelniejszą miłością,
którą On nadał nam kształt człowieczy,
stwarzając nas dla siebie.

Błagamy Cię, Duchu Boży, Duchu Stworzycielu,
wypełnij dzieło, któreś rozpoczął.

Zwyciężaj zło, do którego jesteśmy zdolni,
a kieruj nas ku dobru.

Wszczepiaj w nas wierność i cierpliwość,
i słodycz.

Rozpal w nas przyjaźń do wszystkiego,
co żyje, i radość ze wszystkiego,
co jest dobre – w pełni Boże
i w pełni ludzkie.

Bądź w nas Duchem miłości,
radości i pokoju. Amen.

(Według H. Oosterhuisa, modlitwa studentów holenderskich)

PO OWOCACH POZNACIE CD

Można wyliczać wiele ważnych wskazań dotyczących działania namiętnych myśli. Warto po nie sięgnąć do tekstów, które je opisują. Absolutnym klasykiem jest w tej dziedzinie wspomniany wcześniej Ewagriusz z Pontu. Powstało także szereg opracowań jego tekstów opierających się na nich.

Nawiązując do tendencji do szybkiego zaspokajania pragnień, warto zwrócić uwagę, że w praktyce przy konflikcie spraw ważnych z pilnymi, zwykle zwyciężają te ostatnie. Wynika to z naszego uwikłania w sam żywioł życia i z braku dystansu, a przez to właściwej perspektywy oceny rzeczywistości. Dzieje się tak nawet wówczas, gdy mamy dużą wiedzę na temat wiary, zasad postępowania i mamy duże pragnienie, czy nawet postanowienie uczciwego życia, ale brakuje nam właściwego porządku, planu, który zdecydowanie rezerwuje czas na to, co w życiu najważniejsze. W wirze życia właściwie zawsze pilne wypiera ważne! Dlatego tak trudno nam znaleźć czas na modlitwę, na rozmowę z żoną, dziećmi, zjedzenie wspólnego obiadu, kolacji, wypoczynek itd.

Kiedy jesteśmy pochłonięci zaangażowaniem w nasze działania, podejmowane prace, odpowiedzialności, relacje z innymi ludźmi, jesteśmy jak aktorzy na scenie dramatu. Nasze spojrzenie zasadniczo obejmuje wówczas jedynie krótką perspektywę tego, co się aktualnie dzieje. Ale, jak to powiedzieliśmy, taka krótka perspektywa jest żywiołem pokus podsuwanych przez demony. Dlatego tak łatwo nam wówczas pójść za pojawiającymi się pokusami.

Bardzo dobrze wiedzą o tej skłonności oszuści, którzy często sztucznie stwarzają sytuację wymagającą „natychmiastowej decyzji”. Najłatwiej wówczas człowieka zwieść i spowodować, że podejmie jakąś nierozsądną decyzję sprytnie podsuniętą. Jednak takie sytuacje nagle występują bardzo często w życiu i niekoniecznie są reżyserowane przez kogoś. Często sami stawiamy się w takiej sytuacji i bez zewnętrznego przymusu dokonujemy wyborów pod wpływem impulsu chwili. Tak np. bywa w sklepach, gdy widzimy coś, co nas nęci. Nagle tworzymy sobie w wyobraźni wspaniałe zastosowanie tego przedmiotu. Kiedy po czasie zastanawiamy się nad tym, ile razy użyliśmy tej rzeczy, okazuje się, że bardzo rzadko lub wcale. Podjęliśmy decyzję, bo namiętna myśl nas pobudziła, a brakło nam właściwego dystansu do naszej wyobraźni i poczucia rzeczywistości.

W życiu musimy ustawić sobie niewzruszone filary, na których dopiero będziemy budowali swój czas. W klasztorze takimi filarami są poszczególne modlitwy liturgiczne, *lectio divina*, modlitwa osobista. To jest czas dla Boga i musi on być zagwarantowany. Inne sprawy trzeba załatwić poza tym czasem. Podobnie mamy czas wspólnego posiłku, wspólnej rekreacji, wspólnych spotkań. One muszą być, jeżeli zgromadzenie ma być wspólnotą. Podobnie w rodzinie musi być czas na modlitwę i to zarówno wspólną, jak indywidualną, musi być czas na zwykle rozmowy między mężem i żoną, na spotkanie z dziećmi, na żywe relacje osobowe. Żadne troski o dobre wykształcenie, o to, żeby dziecko miało to samo, co inne dzieci, o dodatkowe korepetycje itd. nie są usprawiedliwieniem braku żywego kontaktu z nimi. Co z tego, że dziecko to wszystko otrzymało, gdy nie otrzymało tego, co najważniejsze: poczucia, że jest kochane, zrozumienia własnej godności i tożsamości?! Żadne wykształcenie tego nie da, a jeżeli dziecko osiągnie głębokie zakorzenienie duchowe, o wiele łatwiej zdobędzie także wykształcenie i sprawność działania.

Osobiście bardzo zalecam odmawianie w rodzinie Kompletu, która jest genialną modlitwą rodzinną. Rozpoczyna się ona od rachunku sumienia i wzajemnego przebaczenia sobie win. Potem następuje hymn i jeden psalm oraz Kantyki Symeona. Wszystko kończy się błogosławieństwem. Ta modlitwa szczerze odmawiana stanowi ogromną siłę jednoczącą rodzinę, siłę tak dzisiaj bardzo potrzebną. Podobnie trzeba ustawić inne punkty dnia, na których powinien być zbudowany plan dnia. Jeżeli takiego planu nie będzie, właściwie trudno utrzymać w swoim życiu to, co najważniejsze, bo bieżące troski to zagłuszą i nie dopuszczą do zrobienia tego, co najważniejsze. **Trwałość** jest jednym z głównych kryteriów rozpoznania dobrych owoców niosących życie.

Wracając do metafory teatru, warto zauważyć, że w teatrze poza aktorami na scenie są także widzowie. Kiedy się zapytamy, którzy z nich lepiej rozumieją sam dramat: **aktorzy** zaangażowani w akcję, czy **widzowie**, trzeba powiedzieć, że właśnie ci ostatni, gdyż mają szersze spojrzenie obejmujące nie tylko jednego aktora, ale wszystkich; patrząc na całość dramatu widzą jego logikę i konsekwencje. I w naszym życiu musimy także stworzyć w sobie perspektywę patrzenia z pozycji widza. To on w nas jest mądrzejszy, a nie aktor uwikłany w chwilowe sytuacje. Wymaga to oderwania się od własnego przeżywania i nauczania się, jak patrzeć na innych z wnętrza ich dramatu. Jeżeli się tego nauczymy i ponadto nauczymy się patrzeć na całość razem

z Chrystusem, to właściwie osiągamy wszystko w życiu duchowym. Wtedy będziemy mieli w sobie Jego miłość i gotowość do jej realizacji aż do końca.

Zauważmy, że widz, patrząc na całość, domyśla się tego, co niesie z sobą koniec, ważny jest dla niego ostateczny efekt, czyli „owoc” całego dramatu. Koniec rozstrzyga także o właściwym sensie dramatu. I tak jest również w perspektywie każdej działalności zorientowanej na osiągnięcie jakiegoś celu. Czy to chodzi o wychowanie dzieci, realizację jakiegoś celu społecznego, naszych ambicji zdobycia jakichś umiejętności, czy np. w działalności biznesowej. Ostateczny efekt rozstrzyga o sensowności całego przedsięwzięcia. „Koniec wieńczy dzieło”. Tak samo jest w odniesieniu do życia chrześcijańskiego: koniec rozstrzyga o sensie naszego życia i wiary, czy osiągamy udział w życiu wiecznym, czy zatracamy się w beznadziejności. Chrześcijanin jest człowiekiem eschatologicznym, to znaczy takim, który patrzy na sens tego, co się dzieje teraz z perspektywy osiągnięcia życia wiecznego, czyli z perspektywy zmartwychwstania. Pisze o tym św. Paweł:

¹³ Jeśli nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał. ¹⁴ A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara. ¹⁵ Okazuje się bowiem, żeśmy byli fałszywymi świadkami Boga, skoro umarli nie zmartwychwstają, przeciwko Bogu świadczylśmy, że z martwych wskrzesił Chrystusa. ¹⁶ Skoro umarli nie zmartwychwstają, to i Chrystus nie zmartwychwstał. ¹⁷ A jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara i aż dotąd pozostajecie w swoich grzechach. ¹⁸ Tak więc i ci, co pomarli w Chrystusie, poszli na zatracenie (1 Kor 15,13–18).

Wiara w zmartwychwstanie – ostateczny owoc dobrego życia w zjednoczeniu z Chrystusem, jest fundamentem chrześcijańskiej postawy i sensu wiary wyrażającej się czynami. Wszystko, co się dzisiaj wydarza, oceniać należy z perspektywy końca życia i ostatecznego celu. Ten cel powinien także być dzisiaj punktem odniesienia naszych działań. Pan Jezus wzywa nas do tego wprost:

Starajcie się naprzód o królestwo Boga i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane. ³⁴ Nie troszczcie się więc zbytnio o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o siebie troszczyć się będzie. Dostyc ma dzień swojej biedy (Mt 6,33n).

Br. Włodzimierz

CHRYSTUS ŚWIATŁOŚCIĄ ŚWIATA (1 J 1,5B.7.9; 2,1B–2)

⁵ Bóg jest światłością
i nie ma w Nim żadnej ciemności.

⁷ Jeśli chodzimy w światłości,
tak jak On sam trwa w świetle,
wtedy jesteśmy we wspólnocie jedni z drugimi,
A krew Jezusa, Jego Syna,
oczyszcza nas z wszelkiego grzechu.

⁹ Jeżeli wyznajemy nasze grzechy,
Bóg jako wierny i sprawiedliwy nam je odpuści
i oczyści nas z wszelkiej nieprawości.

²1 Jeśli by nawet ktoś zgrzeszył,
mamy obrońcę wobec Ojca,
Jezusa Chrystusa sprawiedliwego.

² On bowiem jest ofiarą przebłagalną za nasze grzechy,
i nie tylko za nasze,
lecz również za grzechy całego świata.

Symbolika światła ma w Piśmie Świętym ogromne znaczenie. Siega ona samych początków Biblii. *Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem: ciemność była nad powierzchnią bezmiarów wód, a Duch Boży unosił się nad wodami. Wtedy Bóg rzekł: Niechaj się stanie światłość! I stała się światłość* (Rdz 1,1–3).

Stworzenie światłości było pierwszym krokiem ku stworzeniu ładu, a następnie życia na świecie. Powoli naturalny porządek światła (dnia) i ciemności (nocy) nabiera symbolicznego znaczenia opozycji życia i śmierci, dobra i zła, bliskości Boga i oddalenia od Niego. Tak było szczególnie podczas wychodzenia Izraela z Egiptu. Bóg wyraźnie oddzielił Izraela od Egipcjan zsyłając na tych ostatnich ciemności, a pozostawiając jednocześnie Żydom światło. Następnie wychodzi w nocy na czele ludu wybranego w postaci słupa ognia dając im światło, które go prowadziło.

Światło staje się miejscami prawie tożsame z życiem, a ciemność synonimem śmierci. Szeol, który jest krainą ciemności, jest miejscem spoczywania zmarłych, którzy są oddaleni od Boga: *Nikt po śmierci nie wspomni o Tobie: któż Cię wychwala w Szeolu?* (Ps 6,6).

Zaiste, nie Szeol Cię sławi
ani Śmierć wychwala Ciebie;
nie ci oglądają się na Twoją wierność,
którzy w dół zstępują.
Żywy, tylko żywy Cię wysławia,
tak jak ja dzisiaj (Iz 38,18n).

Światło natomiast jest znakiem życia w obecności Boga. Osiąga ono swoją pełnię w przyszłym królestwie niebieskim, jak je opisuje Apokalipsa:

I już nocy nie będzie.
A nie potrzeba im światła lampy
ani *światła słońca*,
bo *Pan Bóg będzie świecił* nad nimi
i *będą królować na wieki wieków* (Ap 22,5).

Przestają istnieć „naturalne” światła: słońce i księżyc, które okazały się jedynie symbolami prawdziwego światła – samego Boga.

Światło podkreśla jednocześnie świętość Boga. Werset: *Bóg jest światłością i nie ma w Nim żadnej ciemności*, zachwyca, a jednocześnie przeraża. W Bogu nie ma żadnej ciemności, nie ma cienia zła, jest samo dobro, nie ma śmierci, bo istnieje tylko życie i to pulsujące nieustannie świeżą energią. To zachwyca. Jednocześnie pojawia się ogromny lęk wynikający ze świadomości własnej grzeszności, której w pełnym świetle nie da się ukryć. W naszym życiu często liczymy na to, że „jakoś tam będzie”, można się ukryć w tłumie, w ogromnej ilości najrozmaitszych wydarzeń. Natomiast wobec Boga, który jest samą światłością, nic nie da się ukryć, zamaskować. Stąd ogromny lęk:

A sąd polega na tym, że światło przyszło na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki. Każdy bowiem, kto źle czyni, nienawidzi światła i nie zbliża się do światła, aby jego uczynki nie zostały ujawnione. Kto spełnia wymagania prawdy, zbliża się do światła, aby się okazało, że jego uczynki zostały dokonane w Bogu (J 3,19–21).

Ponieważ Bóg jest światłością, zesłał On na ziemię *światłość prawdziwą* (zob. J 1,9), swojego Jednorodzonego Syna, Słowo (Logos). On sam mówi o sobie:

Chodźcie, dopóki macie światłość, aby was ciemność nie ogarnęła. A kto chodzi w ciemności, nie wie, dokąd idzie. Dopóki światłość macie, wierzcie w światłość, abyście byli synami światłości ... Ja przyszedłem na świat jako światłość, aby nikt, kto we Mnie wierzy, nie pozostawał w ciemności (J 12,35n.46)

Wszyscy, którzy stają się Jego uczniami, są „synami światłości”, co oznacza jednocześnie przynależność do królestwa Bożego. *Chodzenie w światłości...* – w naszym przypadku nie oznacza pełni światła, ale zdecydowanie na życie w świetle, kroczenie drogą Chrystusa, wejście do szkoły światła, podobnie jak wejście do szkoły miłości przez podjęcie Jezusowych przykazań. Wówczas *krwem Jezusa, Jego Syna, oczyścisz nas z wszelkiego grzechu*, w ten sposób podlegamy procesowi oczyszczania. Wszystko to dokonuje się *we wspólnocie jedni z drugimi*, czyli we wspólnocie miłości. *Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie* (Mt 5,16). Prawdziwym światłem dla ludzi jest miłość. Ona pociąga i dlatego jest świadectwem, które pozwala zobaczyć i uwierzyć: *Oby się tak zespolili w jedno, aby świat poznał, żeś Ty Mnie posłał i żeś Ty ich umiłował tak, jak Mnie umiłowałeś* (J 17,23).

Z naszej strony konieczne jest zdecydowanie, aby pójść tą drogą. Na jej początku potrzebne jest wyznanie swoich grzechów i odcięcie się od zła. To dokonuje się podczas chrztu św. Nasz dramat polega na tym, że tego sakramentu najczęściej nie przeżywamy świadomie, ale jako małe dzieci i raczej znamy go z opowiadań. Niemniej potrzeba świadomej decyzji z naszej strony w wieku dojrzałym. Tak niewiele potrzeba, aby wejść na właściwą drogę, a jak trudno to naprawdę podjąć!

W odpowiedzi na nasze wyznanie grzechów, *Bóg jako wierny i sprawiedliwy nam je odpuści i oczyści nas z wszelkiej nieprawości*. Te słowa nawiązują do wielu wypowiedzi ze Starego Testamentu podkreślających wierność Boga. W Księdze Mądrości czytamy:

Ty zaś, Boże nasz, jesteś łaskawy i wierny, cierpliwy i miłosierny w rządach nad wszystkim. Nawet gdy zgrzeszymy, Twoimi jesteśmy, świadomi Twojej mocy; ale nie będziemy grzeszyć, świadomi tego, żeśmy za Twoich poczytani (Mdr 15,1n).

W Drugim Liście do Tymoteusza św. Paweł pisze wręcz o tym, że Bóg nie może nie być wiernym:

Jeśli my odmawiamy wierności, On wiary dochowuje, bo nie może się zaprzeć siebie samego (2 Tym 2,13).

Święty Paweł pisze o dramatycznej sytuacji, kiedy ktoś po chrzcie, czyli po świadomym przyjęciu Chrystusa, popada w grzech. Takiej sytuacji, wydaje się, dotyczy następny werset rozważanego hymnu: *Jeśliby nawet ktoś zgrzeszył, mamy obrońcę wobec Ojca, Jezusa Chrystusa sprawiedliwego.*

Jezus Chrystus oczyszcza nas z grzechów nie tylko podczas chrztu, ale również i po nim. W miarę regularnie dokonuje się to podczas sakramentu pojednania, który czasem słusznie nazywa się „pracowitym chrztem”. On słusznie pokazuje, jak nawrócenie, metanoja, w istocie jest w naszym życiu długotrwałym procesem, który wymaga jednak konkretnych momentów szczególnego nawrócenia i wyznania win.

Mamy obrońcę wobec Ojca, dosłownie mamy *Parakleta*. Zwykle jesteśmy przyzwyczajeni, że to określenie odnosi się do Ducha Świętego, ale w Ewangelii według św. Jana Pan Jezus mówi o przysłaniu *innego Parakleta* (J 14,16), którym jest Duch Święty. On sam bowiem jest owym pierwszym Parakletem, czyli obrońcą, występującym w naszym imieniu przed Ojcem, Tym, który się za nami wstawia. Dziwić nas może to, że potrzeba przed Ojcem obrońcy. Samo takie określenie wskazuje na odbywanie się jakiegoś sądu. Otóż jak wskazują inne teksty biblijne, szatan jest tym, który nieustannie oskarża braci przed Bogiem. W Apokalipsie w 12. rozdziale czytamy o wielkiej walce na niebie, w której archanioł Michał pokonał diabła i *oskarżyciel braci naszych został strącony, ten, co dniem i nocą oskarża ich przed Bogiem naszym* (Ap 12,10). Wobec takiej sytuacji nieustannego oskarżania potrzeba obrońcy, który nie tyle wykaże niewinność oskarżanego, ile weźmie go w obronę i usprawiedliwi: *On bowiem jest ofiarą przebłagalną za nasze grzechy* – w ten sposób broni nas, biorąc na siebie nasze grzechy. Rola Parakleta w pewnym wymiarze pokrywa się z rolą goela, najbliższego krewnego, który winien bronić swojego bliskiego i wykupić go, gdy się znajdzie w niewoli. Rola Parakleta różni się zatem od funkcji adwokata, który tylko stara się wykazać niewinność lub wskazać okoliczności usprawiedliwiającej popełnione wykroczenie. Dziełem Parakleta jest przede wszystkim udzielenie nam przystępu do Ojca (zob. Ef 2,18; 3,12). Dzięki temu sytuacja zupełnie się zmienia. Nasze prośby do Boga nie będą potrzebowały pośredników. Pan Jezus zapowiada taką sytuację:

W owym dniu będziecie prosić w imię moje, i nie mówię, że Ja będę musiał prosić Ojca za wami. Albowiem Ojciec sam was miłuje, bo wyście Mnie umiłowali i uwierzyli, że wyszedłem od Boga (J 16,26n).

Przystęp do Ojca uzyskujemy dzięki wierze w Jezusa Chrystusa, wierze, że On wyszedł od Boga i do niego wraca. Właśnie ta tajemnica jest przez Chrystusa nazwana nieco wcześniej sprawiedliwością, o której nas przekona Duch Prawdy, Paraklet: *o sprawiedliwości zaś – bo idę do Ojca i już Mnie nie ujrzycie* (J 16,10).

Cale to dzieło dokonuje się przez *ofiary* Jezusa Chrystusa. Zazwyczaj kojarzymy ofiarę z poświęceniem, męką i cierpieniem. To są niewątpliwe składowe ofiary Chrystusa. Niemniej trzeba pamiętać, że zasadnicza funkcja ofiary polega na **pośrednictwie**, na wprowadzeniu w więź z Bogiem.

Składanej ofierze zawsze towarzyszyła uczta ofiarna, która tę więź wyrażała; była to uczta w obliczu Boga, a raczej z Bogiem. I tak jest podczas naszej Eucharystii, która jest uobecnieniem jedynej ofiary Chrystusa, łącząc w jedno Ostatnią Wieczerzę i Ofiarę na krzyżu. Udział w niej daje nam przystęp do Ojca. W przypadku Jezusa wszystko o tyle się jeszcze pogłębia, że On nie tylko jest samą Ofiarą, ale jest także Kapłanem, który tę ofiarę składa i sam jest naszą jednością z Ojcem. Przyjmując Jego ofiarę, co oznacza jednocześnie przyjęcie Jego jako Ofiary, wchodzimy w jedność z Nim, a przez to otrzymujemy całkowity przystęp do Ojca.

Jego ofiara ma charakter całkowicie **uniwersalny**. Trzeba dzisiaj bardzo mocno przypomnieć ten ogarniający wszystkich wymiar ofiary Chrystusa, bo wielu chrześcijan zapomina o tym i zawęża zasięg oddziaływania ofiary Chrystusa do samego Kościoła. Do takiego zawężenia posłużyła teza: „Poza Kościołem nie ma zbawienia”, co rozumiano bardzo dosłownie: jeżeli ktoś nie jest katolikiem, to nie ma szans na zbawienie. Drugi Sobór Watykański znacznie zmienia sens określenia „Kościół” rozciągając jego zakres nie tylko na chrześcijan, ale także na ludzi religijnych, a nawet wszystkich „ludzi dobrej woli” (zob. KKK 13–16). Tak rozumiany Kościół obejmuje swoim misterium jednoczenia z Bogiem (por. KKK 1) cały świat, dokładnie tak, jak to jest w zakończeniu rozważanego hymnu.

Br. Włodzimierz



UFNOŚĆ:

JULIANNA Z NORWICH

Żyjemy w trudnych czasach. Powiedzmy sobie szczerze: każde czasy są trudne, w żadnych nie brak problemów, a w dodatku im człowiek starszy, tym trudniej mu zrozumieć świat niepodobny do świata jego młodości. W Europie w XIX wieku weszło w modę, przynajmniej w Kościele, uważać średniowiecze (cokolwiek przez to rozumiano) za tę idealną epokę, w której jeszcze było wiadomo, czego się trzymać. Aha, akurat. Niemniej jeden z najpiękniejszych przekazów chrześcijańskiej nadziei pochodzi właśnie z późnego średniowiecza: przełom wieku XIV i XV, Anglia, miasto Norwich.

Dla Anglii i Francji był to wciąż jeszcze czas tzw. wojny stuletniej. Nadto około połowy XIV wieku, przeszła przez cały kontynent koszmarna epidemia dżumy. Za epidemią przyszedł oczywiście ogólny kryzys gospodarczy, a więc głód; za głodem rozruchy. W samym Norwich wymarło na dżumę pół miasta, na wsiach nie było lepiej; ludzie uciekali przed morem, więc ziemia leżała odłogiem. Wkrótce, kto jeszcze na roli pozostał, nie miał ani sam co jeść, ani czym płacić podatków. Buntury chłopskie były krwawe i równie krwawo tłumione; w Norfolk dowódcą takiej pacyfikacji był... tamtejszy biskup. Mało tego, w roku 1378 zaczęła się w Kościele rzymskim tzw. wielka schizma: przez prawie czterdzieści lat dwaj, a przejściowo nawet trzej papieże walczyli ze sobą wzajemnie przy użyciu wszelkich środków, od ekskomuniki przez dyplomację do armat. A prawnicy pisali w obronie każdego z nich uczone dysertacje. Czego tu miał się trzymać zwykły wierny? Dość tego było, żeby wpędzić w rozpacz kogoś szczerze milującego Kościół Boży!

A w dodatku autorka tego przekazu, imieniem Julianna, była w Norwich rekluza, to znaczy żyła w zamurowanej celce, przylegającej do kościoła parafialnego i zaopatrzonej w trzy okienka: jedno na kościół, drugie do celki swojej służebnej, a trzecie na ulicę. Pod to ostatnie okno przychodzili ludzie strapieni szukać pociechy, a choćby i możliwości wyżalenia się; a jej reguła (specjalnie napisana dla rekuz) kazała tego słuchać, choćby ze szkodą dla czasu modlitwy; były tylko wskazówki, jak wykluczać zwykłe plotki. Mało kto w mieście, oprócz spowiedników oczywiście, mógł być tak dobrze obeznany z ludzkimi nieszczęściami jak miejscowa rekluza. I właśnie z jej celki pochodzi przekaz iluminacji, której doznała w ciężkiej chorobie, a więc w dodanym jeszcze do tego wszystkiego własnym cierpieniu fizycznym.

Wydzrowiała z tej choroby, żyła jeszcze długo i poświęciła resztę życia na spisanie i zrozumienie tego, co wtedy w tym jednym momencie jasności pojęła. Jej tekst, pisany czternastowieczną angielszczyzną, dzisiaj jest znany najlepiej w przekładach na języki nowoczesne (w tym i nowoczesny angielski), wydawanych od 1901 roku. Mnóstwo wydań i wielka, stale rosnąca literatura opracowań ukazują, że jej dzieło niesie ludziom treść, której potrzebują. Nie próbując wyczerpać treści tego dzieła, ani nie wdając się w polemiki czy ujęcia przemijające, przedstawmy tu na podstawie kilku urywków zasadniczą treść przesłania Julianny.

...Wtedy także ukazał mi coś małego, wielkości laskowego orzecha; leżało to na mojej dłoni, okrągłe jak piteczka. Patrzyłam na to okiem mojej myśli i zastanawiałam się:

Cóż to takiego może być? I otrzymałam odpowiedź: To jest całe stworzenie. Zdumiałam się, jak coś tak małego może w ogóle przetrwać, bo wydawało mi się, że się zaraz rozpadnie w nicłość: dlatego, że jest takie małe. I otrzymałam w myśli odpowiedź: Trwa i zawsze trwać będzie, ponieważ Bóg je kocha. Tak więc wszystko ma istnienie dzięki miłości Boga. I dostrzegłam w tym małym przedmiocie trzy cechy. Pierwsza, że Bóg go stworzył; druga, że Bóg go kocha; trzecia, że Bóg go zachowuje...

... A wtedy Pan nasz otworzył mi oczy ducha i pokazał mi moją duszę, wewnątrz mego serca. Zobaczyłam duszę tak wielką, jakby jakiś świat nieskończony i jakby szczęśliwe królestwo. A po tym, co w nim zobaczyłam, poznałam, że jest to jakby czcigodne miasto. Pośrodku tego miasta zasiada Pan nasz, Jezus Chrystus, Bóg i Człowiek, piękny i wysoki, jako najwyższy biskup, najchwalebniejszy król, najczcigodniejszy władca; i zobaczyłam Go, odzianego w majestat... A Jego Bóstwo rządzi i podtrzymuje niebo i ziemię, i wszystko, co jest ... ale miejsca, które Jezus zajmuje w naszej duszy, nigdy On nie opuści na wieki, jak widzę: bo w nas jest Jego najmiłszy dom i wieczne mieszkanie.

... A to widzenie Męki Chrystusowej napelniło mnie całą bólem. Bo wiedziałam wprawdzie dobrze, że On cierpiał raz jeden, ale było tak, jakby chciał mi to pokazać i napelnić mnie tą Męką, jak tego poprzednio pragnęłam. I przez cały ten czas cierpienia Chrystusa nie czułam innego bólu, tylko Jego ból. Pomyślałam wtedy: Nie wiedziałam sama, o co proszę! – i, nędzna, pożałowałam tej prośby, myśląc: Gdybym wiedziała, co to takiego, nigdy bym się o to nie modliła! Bo zdawało mi się, że zabija mnie ten ból. Myślałam: Czy jest drugi ból tak, jak ten? I usłyszałam w myśli odpowiedź: Piekło jest drugim takim bólem, bo tam jest rozpacz; ale z tych wszystkich bólów, które prowadzą do zbawienia, ten jest największy: widzieć, jak cierpi twoja Miłość. Jakże mógłby jakikolwiek ból być dla mnie większy, niż widzieć, jak cierpi On, który jest całym moim życiem, całym szczęściem, całą radością?

I w tym kontekście pada zdumiewające pytanie:

... Wtedy dobry nasz Pan, Jezus Chrystus, powiedział: Czy cieszysz się, że cierpiałem za ciebie?

Cóż mogła odpowiedzieć obdarowana?

... Powiedziałam: Tak, dobry Panie, dziękuję Ci; tak, dobry Panie, bądź błogostawiony! Wtedy Jezus, nasz dobry Pan, powiedział: Jeżeli ty się cieszysz, to i ja się cieszę: to jest radość, szczęście, nieskończone dla mnie zadowolenie, że wycierpiałem dla ciebie Mękę; a gdybym mógł cierpieć więcej, wycierpiałbym więcej...

Tu właściwie komentarza nie trzeba, ale streszcmy: stworzenie samo z siebie jest nicością, ale jako osobowy przedmiot miłości Boga ma wartość nieskończoną; bezwartościowy drobiazg okazuje się bezgranicznym królestwem i miłym Bogu mieszkaniem. A jest to miłość równie potężna jak delikatna: potrafi moce piekielne zwyciężyć, a jednocześnie powiedzieć nieśmiało: *Jezeli ty się cieszysz, to i ja się cieszę...*

I dopiero w świetle tej niewyobrażalnej miłości wszystko inne nabiera właściwego sensu. Julianna, która żyła w świecie nie mniej groźnym i rozdartym od naszego, reaguje na objawienie się Chrystusa podobnie, jak przed wiekami zareagowała Samarytanka przy studni: postawieniem problemu teologicznego:

Potem Pan przypomniał mi moją dawną tęsknotę do Niego. I zobaczyłam, że nic mi nie stoi na przeszkodzie, tylko grzech. I spojrzałam w ogólności na nas wszystkich, i pomyślałam: Gdyby grzech nie zaistniał, byłibyśmy wszyscy czysti i podobni do Pana naszego, tak jak nas stworzył. Bo tak samo i wcześniej zastanawiałam się często w swojej głupocie, dlaczego przewidująca mądrość Boża nie powstrzymała grzechu; wtedy bowiem, jak mi się zdawało, wszystko byłoby dobrze... Ale Jezus, który w tym widzeniu pouczył mnie o wszystkim, co mi było potrzebne, odpowiedział tak oto: Grzech był nieunikniony, ale wszystko będzie dobrze, i wszystko będzie dobrze, i wszystko wyjdzie na dobre.

Grzech, jak się okazuje, nie ma nawet tyle bytu, ile go miał orzeszek symbolizujący całe stworzenie: w ogóle go nie widać, bo nie ma własnego istnienia, a poznać się daje tylko przez ból, którego jest przyczyną. *Ból zaś jest czymś, jak rozumiem, ale tylko na czas: bo oczyszcza i pomaga nam poznać siebie i prosić o miłosierdzie.*

Julianna nie ignoruje więc zła; zresztą za dobrze wie, ile ono kosztowało Chrystusa. Nie ignoruje także działania szatana. Niemniej Bóg nauczył ją patrzeć na wszystko, a więc także na zło, z perspektywy wieczności, a to sprawiło, że śmiała się głośno z wysiłków piekła. Bo usłyszała już głos Pana, stojącego w progu: *Umiłowanie moje, cieszę się, że przychodzisz do mnie: w całym twym bólu byłem zawsze przy tobie, a teraz widzisz moją miłość i jesteśmy zjednoczeni w szczęściu.*

S. Małgorzata Borkowska



OJCIEC PLACYD GALIŃSKI AMBASADOR FRANCJI

Bywając w Tyńcu często dostawałem pokój na Opatówce obok celi o. Placyda, ten zapraszał mnie na rozmowy. Był duszpasterzem akademickim i wolno mu było kontaktować się z ludźmi spoza klasztoru w stopniu szerszym, niż innym zakonnikom. Rano byłem na odprawianej przezeń w kaplicy na Opatówce mszy świętej. Kaplicę urządził o. Placyd osobiście, a projekt jego zrealizował brat Abraham – stolarz. Nie wiem, czy kaplica powstała jeszcze przed, czy już w trakcie trwania Soboru, wcielała jednak ducha reformy liturgicznej. Po śniadaniu – wówczas jeszcze wspólnym – zachodziłem do o. Placyda na rozmowę. Podziw i zazdrość budziły we mnie francuskie książki na półce, w szczególności stojący pod oknem cykl historii cywilizacji, ofiarowany mu przez rodzinę. Tłumaczył, że ruch benedyktyński ściśle wiąże się z krzewieniem kultury i cywilizacji śródziemnomorskiej, że cykl ten daje mu szeroki pogląd na kulturę i śródziemnomorską i światową. Miał też książki religijne, widać było, że preferował religijną myśl francuską, analogicznie do kręgu Lasek i kręgu Tygodnika Powszechnego – z tym

ostatnim wiązał Tyniec o. Bernard, brat Naczelnego... Ostatecznie mnisi, którzy odnowili Tyniec, przyszli z Belgii, z opactwa Saint André w Brugge (fr. Bruges) a pierwszym przeorem był mówiący po francusku flamand – o. Karol van Oost.

Pewnego dnia o. Placyd oświadczył mi, że wyjeżdża do Francji i w tym celu doskonali język francuski czytając książki i wyszukując każde nieznanne słówko w słowniku. Kiedy i ja wyjechałem po studiach malarskich do Paryża, on przywitał mnie na *Garde du Nord* i on wręczył mi kwotę stypendium, która miała wystarczyć na trzy miesiące pobytu. Pierwsze godziny spędziłem pod jego opieką w mieszkaniu polskiego księdza, który wychodząc na miasto zaskoczył mnie wiążąc *foulard* na koloratce, aby ją ukryć, a przecież mógł ją zdjąć. Z o. Placydem spotkaliśmy się jeszcze kilkakrotnie u niego w „biurze”, które miał nad Sekwaną w okolicy *Pont Neuf*, duszpasterzował studentom polskim – między innymi zniechęcając ich do emigracji i zachęcając do powrotu do Polski, choć duszpasterzowanie jego przecież nie tylko na tym polegało! Postawa ta – jak się okazało później – została zinterpretowana przez bezpiekę przeciwnie. Ojcu Placydowi po powrocie do Polski odebrano paszport twierdząc, że jego opieka nad studentami we Francji dawała im poczucie bezpieczeństwa zachęcając, a nie odstręcając od porzucenia kraju. Przed wyjazdem, jeszcze w Tyńcu, o. Placyd mawiał, że Kościół wprawdzie ma gwarancję przetrwania do końca świata, ale Kościół w Polsce gwarancji tej nie ma i czy przetrwa – nie wiadomo. W Paryżu zmienił zdanie: „Jeżeli Kościół przetrwa, to właśnie w Polsce, nie na Zachodzie, który upada. Szkoda – dodawał – będzie to koniec pięknej kultury”.

Ojca Placyda spotkałem w Tyńcu po jego powrocie z Francji, opowiadał o przesłuchaniu po oddaniu paszportu i wstępie z tym związanym. „Niby nic, ale czulem się tak, jakbym siadł na wielkiej kupie” – powiedział. Przyjmując trafne rozróżnienie Leszka Kołakowskiego przedstawione w eseju: „Kapłan i błazen” brałem o. Placyda bardziej za błazna niż za kapłana, tym bardziej zaskoczyła i poruszyła mnie wieść, że pierwszym Opatem Tynieckim wybrany został właśnie on. [Było to 15 lutego 1969 roku, ośmioletnia kadencja trwała do 16 lutego 1977 roku. Przyp. Red.] Rozpierała mnie *Schadefreude* – oto człowiek, którego chciano uziemić, stał się kamieniem węgielnym odnowy Tyńca i to w duchu francuskim. Ojciec Placyd wprawił w pierścień opacki kamień podniesiony z brzegów Morza Śródziemnego podkreślając, że

jest tu, pod Krakowem, ambasadorem kultury śródziemnomorskiej, nie tylko łacińskiej a śródziemnomorskiej właśnie. Nie wiem czy uwzględnił obecność w niej nie tylko Aten i Rzymu ale i Jerozolimy... – potem Islamu? Tak czy owak pierścien ów odsłonił przede mną istnienie problemów, z których niezbyt wyraźnie zdawałem sobie wówczas sprawę. Dziś, gdy kultura śródziemnomorska nie jest już wyróżniona, sens pierścienia Opatu Placyda wydaje się zawężeniem benedyktyzmu, który nabral ostatnio nowego wymiaru!

Ojciec Placyd urządził w nowo odbudowanej części klasztoru dużą salę przeznaczoną na posiedzenia kapituły zakonu – obok znalazła miejsce cela opata. Odwiedzając Tyniec – często wieczorami – dzwoniłem z furty i opat zapraszał mnie na górę. Kapitułarz z ogromnym stołem konferencyjnym i biurkiem, za którym opat siedział, robił na mnie wielkie wrażenie. Rozmawialiśmy o Europie, o misji zakonu, o przyszłości Polski. Ojciec Placyd miał wizję nowej Polski i Europy, opowiadał o kontaktach z Francuzami i Belgią, które nawiązał podczas pobytu na Zachodzie i które teraz przynosiły owoce. Chciał, aby Tyniec stał się centrum kultury. W pewnym sensie był „światowcem”, był też ambasadorem Francji.

Trwał remont Opactwa – Ojciec mój chciał ofiarować Tyńcowi kopie centralnej sceny Nawiedzenia NMP z poliptyku kościoła Najświętszej Panny Marii na Ostrowiu Tumskim w Poznaniu i wystawioną niegdyś na weneckim Biennale kopię fresku z tegoż kościoła: scenę Narodzenia Marii. Ojciec Placyd obrazy obejrzał, ale ich nie chciał. Nie bardzo mu się podobały. Jednak doszło do zamówienia przezeń projektu polichromii tynieckiego refektarza, który Ojciec wykonał. Na jednej ścianie szczytowej, nad stołem Opatu, zaprojektował scenę z Apokalipsy z 24 starcami..., na drugiej przewidział Ojciec Ostatnią Wieczerzę. Do realizacji nie doszło.

Kadencja o. Placyda upływała, aż nadszedł czas wyborów; nowy Opat nie był już ambasadorem Francji...

Nadal bywałem w Tyńcu, spędziłem nawet z rodziną wakacje zaproszony przez państwa Machurów – a to ze względu na teściową, która była muzykiem. Pan Machura dobrze ją znał. Odwiedzałem naturalnie o. Placyda w jego nowej celi z gotyckim sklepieniem, pracował nad przekładem hymnów brewiarzowych. Za każdym razem witaliśmy się żartobliwie. Pewnego dnia spotkałem go na dziedzińcu, zażartowałem jak zwykle, jemu jednak nie było do śmiechu. „Pakuję się, wyjeżdżam do Warszawy” powiedział niespokojnie. Zapytałem o powód. Okazało się, że Opat wizytator uznał, że dla

o. Placyda miejsca w Tyńcu nie ma. Przypuszczano, że przyczyną jego wydalenia, bo tak decyzję wizytatora wolno chyba nazwać – była nieumiejętność cofnięcia się do szeregu i niesnaski między jego sympatykami, a zwolennikami nowego opata. Tej hipotezie nie zamierzam się przyglądać. Myślę, że w Tyńcu od dawna toczył się spór głębszy, spór o kształt monastycznej wspólnoty. Wspominał o nim niegdyś już brat Karol. Brat Karol i o. Placyd uważali, że mnisi nie powinni być klerem, że – jak za czasów św. Benedykta – do „obsługi” klasztoru wystarczy kilku kapłanów. Tak sądziło także wielu współbraci. Wielu uważało jednak, że mnisi wykształceni teologicznie powinni przyjmować święcenia kapłańskie. Można przytoczyć ważne argumenty na rzecz obu stanowisk. O ile mi wiadomo, zwolennikiem kapłaństwa mnichów był między innymi o. Augustyn – późniejszy opat.

Ojca Placyda odwiedzałem pod Warszawą w Aninie, gdzie rezydował na plebanii. Mówił, że pracuje nad nowym brewiarzem. Opowiadał o planach stworzenia wspólnoty monastycznej. Będąc po dłuższym czasie ponownie w Warszawie dowiedziałem się, że mieszka w klasztorze, chyba Bonifratrów, zaszedłem tam – furtian powiedział, że o. Placyd właśnie pojechał na dializę... Napisałem kilka słów na jakiejś karteczce, zostawiłem ją na furcie, więcej go już nie widziałem.

Wspomina Paweł Taranczewski

A oto jedna z „Uwag Opata” Placyda Galińskiego zacytowana w *Cenobium* Nr 16 z 2001 roku, wydrukowanym po śmierci o. Placyda.

Ze względu na ciężki stan naszych finansów nie możemy zaangażować specjalnych paziów do zamykania drzwi za niektórymi zakonnikami. Trzeba więc robić to samemu i nauczyć się tej bardzo trudnej sztuki. Otóż:

Każde drzwi są zaopatrzone w klamkę lub uchwyt. Po naciśnięciu klamki drzwi się otwierają, wtedy należy przejść przez nie. Następnie odwrócić się i RĘKĄ przyciągnąć klamkę lub uchwyt i ŁAGODNIE zamknąć drzwi. Warto też obejrzeć się uprzednio dla sprawdzenia, czy nie zamyka się komuś drzwi przed nosem. Ufam, że będą zrobione uczciwe wysiłki w tym kierunku, a w naszym domu będzie mniej hałasów.

PROGRAM SPOTKANIA W OLSZTYNIE
PONIEDZIAŁEK 6. II. 2012

- 17.00 – Dom Parafialny przy Katedrze
- uroczyste zapalenie świecy – symbolu obecności Chrystusa wśród nas
 - wezwanie do Ducha Świętego
 - Nieszpory
 - Lectio Divina (1 J 1,5b.7.9; 2,1b–2)
 - Dzielenie się Słowem Bożym
 - Rozmowy na kanwie tekstu o duchowości monastycznej ze stycznia
 - Sprawy bieżące Wspólnoty
 - Eucharystia w Bazylice Katedralnej

DZIEŃ SKUPIENIA OBLATÓW W TYŃCU
SOBOTA 18. II. 2012

- 09.30 Próba śpiewu w kaplicy na Opatówce
- 10.00 Spotkanie z o. Włodzimierzem w Sali Zielonej na Opatówce, konferencja – komentarz do *Reguły* św. Benedykta
- 11.00 Msza Święta w kościele
- 12.00 Adoracja Najświętszego Sakramentu, okazja do spowiedzi
- 12.50 Modlitwa w ciągu dnia z mnichami w kościele
- 13.00 Obiad
- 13.45 Spotkanie w Sali Zielonej na Opatówce, sprawy organizacyjne, Lectio divina
- 15.00 Godzina czytań z mnichami w kościele

WARSZAWSKIE SPOTKANIA BENEDYKTYŃSKIE

Temat:

Chorał gregoriański – modlitwa śpiewem (O. Opat Bernard Sawicki OSB)

24. lutego w piątek Ursynów

Parafia bł. Edmunda Bojanowskiego:

20.00 Msza św. z homilią

20.45 Agapa

21.10 Konferencja tematyczna i spotkanie zakończone Kompletą

25. lutego w sobotę kościół ss. sakramentek

na Rynku Nowego Miasta:

9.00 Msza św. z homilią

Ok. 9.45 Adoracja Najświętszego Sakramentu

10.00 Konferencja tematyczna

10.45 Spotkanie w salce zakończone Modlitwą w ciągu dnia z Liturgii Godzin

KALENDARIUM

2.II *Ofiarowanie Pańskie*

6.II Spotkanie grupy Benedictus w Olsztynie Dzień skupienia oblatów tynieckich

10.II *Św. Scholastyki, dziewicy, siostry św. Benedykta, patronki oblatów*

14.II *Św. Cyryla, mnicha, i Metodego, biskupa, patronów Europy*

18.II Dzień skupienia oblatów tynieckich

22.II *Popielec*

24-25.II Benedyktyńskie Spotkania w Warszawie – *Chorał gregoriański – modlitwa śpiewem* (O. Opat Bernard Sawicki OSB)

W CZWARTEK 12 STYCZNIA 2012
PO DŁUGIEJ I CIĘŻKIEJ CHOROBIE
ANTONI FRANASZEK ZASNAŁ W PANU